

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 24 kwietnia 1909 r.

№ 17.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

7

Powieść historyczna.

Powoli, gdy Emilka na pannę wyrosła, gdy Muraszko legł w grobie, dawne zapędy przycichły, umilkły, a natomiast wzrosła zawziętość do książek. Pani podkomorzyna przecież sama była za tem, by Emilka najstaranniejszą odebrała edukację, by i w sztukach nabyła smaku wytwornego i w językach cudzoziemskich zaprawiła się przystojnie. Pani podkomorzyna sama lubiła wieczory nad książką spędzać. Ileż wzruszeń zaznała, czytając „Nową Heloizę“, ileż ze „Zwierciadła pięknej duszy“ słodkich poczerpnęła myśli! Emilka jednak do innych rwała się książką, do innych nauk. Niejeden statysta tylu uczonych dzieł nie przewertował. Wreszcie, kiedy się zdawało, że Emilka rozbrat z nauką weźmie, nastąpił się kapitan Dallwig i zaczęły się lekcje matematyki. I jakiej matematyki! Pani podkomorzyna sama nieraz przysłuchiwała się lekcjom i nic z nich pojąć nie mogła. A już ani rusz nie umiała sobie wystawić, aby te nudne szeregi liczb, literek, kółek, zygakowatych kresek mogły kogoś zajmować.

Ten Dallwig prawdziwie dobrał się z Emilką. Godzinami gotów liczbami z takim przejęciem

mówić, jakby najciekawszą rozpowiadał historię. Stara Kewliczowa słusznie zartowała, iż lepiejby od razu ludwisarnię założyli.

Pani podkomorzyna uśmiechnęła się do samej siebie.

— Dallwig, Dallwig! Dobry ród, grzeczny kawaler... ale...

Długie, wyschłe palce pani podkomorzyny zacisnęły się energicznie.

— Wolejby taki Dallwig, jeżeli serce jej ku niemu się skłania, niż najwspanialszy maryaż bez rzetelnego sentymentu.

— Wszystko dobrze, proszę miłościwej pani! — ozwał się ode drzwi głos starego marszałka.

Podkomorzyna drgnęła zlekka.

— Panny hrabianki jeno parzyć. Nic, dzięki Bogu, złego się nie stało.

— Jakto nic złego?

— To jest—maształerz odnalazł pannę hrabiankę nad Dźwiną, tuż za Magdą, w chacie polowego. Właśnie przypadek się stał jakiemuś młodemu panu, co, uprzykrzywszy sobie czekanie na prom od Iłkukszy, wpływ chciał rzekę przebyć, i ten mało się nie utopił, więc właśnie...

Marszałek zachłysnął się w tem miejscu. Pani podkomorzyna, po-

ruszona nowiną, nie zwróciła na to uwagi.

— Wpław, przez Dźwinę?!

— Koń mu się wyrwał i odzucił go w nurt.

— A cóż za zawadyactwo! Życie na szwank narażać! No, no, wpływ przez Dźwinę! Więc go do byli?

— Akuratnie, już się rozczmychał.

— Więc panna hrabianka...

— Pannie hrabiance nic złego!

— Mój Szamotulski, naucz się odpowiadać dorzecznice!

— Właśnie, proszę wielmożnej pani, panna hrabianka jechała i widziała. Dobrze mówię... widziała i zarządziła, to jest... na polowego zawołała... Ludzie się zbiegli na ratunek, i ten—wszystko dobrze. Kalamazka węgierska już odeszła do Magdy, państwo duchem przybędą.

— Jacyż znów państwo mają przybyć! — upomniała niecierpliwie podkomorzyna.

Marszałek zgiął się w pałąk z alteracyi i otarł nieznacznie pot z czoła.

— Akuratnie, bo anglez panny hrabianki zakulał i ten... pan baron Dallwig kazał się zameldować do miłościwej pani...

Podkomorzyna stuknęła energicznie łaską.

— Dosyć! Szamotulski najprostsza sprawę musi zawsze splątać po swojemu. Proś barona do sali rycerskiej.

Marszałek szurgnął nogami i zniknął we drzwiach. Pani podkomorzyna dźwignęła się z fotela, poprawiła czepca i ruszyła powitać gościa.

W kilka chwil później Dallwig do rąk pani podkomorzyny się chylił, ostrogami brząkał, a wartką francuszczyzną rozmowę zagajał:

— Dawno nie miałem honoru... cieszę się niewymownie, że panią hrabinę w dobrym zdrowiu oglądam...

— Bardzom rada. Siadaj proszę, kapitanie. Prawda, że dawno nie widzieliśmy się, bodaj od pogrzebu Anusi...

— Tak, pani hrabino, — rzekł cicho Dallwig, — od pogrzebu. — Wyrwać się z Dyneburga nie mogłem. Drugą linię przekopów budowaliśmy całe lato, a przytem nie śmiałem, pani hrabino, się naprzykrzać... Z doświadczenia wiem, że ból, smutek, zawsze samotności pożąda...

— Słusznie powiadasz. Okrutny był to cios. Dla mnie, która już tak blisko grobu stoję, lżejszy bodaj do zniesienia. Nie długo czekać mi oglądania tych, co lepszego zażywają świata. A śmierć na dobre się zawzięła na naszą rodzinę. W maju rok minął, jak pochowaliśmy Ferdynanda Platę.

— Ferdynanda?

— Z Osokina, stryjecznego Emilki, co z Karpiówną, chorążanką upicką, był żonaty. A w tym roku straciliśmy znów Jadwinę Platę, co *primo voto* za generałem Janem Zybergiem była, a sama Ferdynandowi wypadła siostrą... Umarła w kilka tygodni po Anusi.

— Panna Emilia musiała bardzo głęboko odczuć...

— Teraz dopiero, po powrocie z Połagi, odżyła nieco. Przez ostatnie kilka tygodni na krok nie odstępowała matki. Obawiałam się, żeby utrudzenia wielkiego zdrowiem nie przypłaciła. A bronić jej tego nie mogłam. Ale, dzięki Bogu, postrzegam pomyslniejsze wróżby. Od

tygodnia panna znów wróciła do ulubionych wycieczek w okolice. Patrząc, kapitanie, noc zaszła, a jej niema jeszcze...

Dallwig poruszył się niespokojnie.

— Panna Emilia...

— Wróci niebawem. Przygoda ją zaskoczyła... jakiś paniczek topił się w Dźwinie, więc go ratowano. Znasz Emilkę, tedy zgadniesz, że ocalonego przywiezie nam na wieczerzę.

— Czy aby panna Emilia...

— Wiem, co mi chcesz powiedzieć, kapitanie. Sama lękam się tych wypraw konnych. Ulegam chwilowo, ile że widzę w nich znamię ukojenia po zgonie matki, lecz zamyślam im się oprzeć, oprzeć stanowczo i w tym celu nawet na pańską matematykę parol zagiętam.

— Na matematykę, pani hrabino?

— Mniemam, że będziesz pan dalej prowadził swe lekcye.

Dallwigowi oczy się rozśmiały.

— Tylko obawiam się, kapitanie, czy starczy wam matematyki.

— Pani hrabino, mamy jeszcze całą taktykę do przebycia!

— Taktykę? Nie znam tej nauki.

— Jest bardzo zajmującą, szczególnie wyższą, traktującą o działaniu całych armii.

— Ależ, kapitanie, a cóż Emilce z tych wiadomości.

— Istotnie, pani hrabino! — przyznał ze szczerem zafrasowanie Dallwig. — Panna Emilia okazuje wprawdzie wielką ciekawość do wszystkiego, co sztuki wojskowej dotyczy, lecz, rzeczywiście, przedmiot nieodpowiedni. Moznaby ponowić geometryę... przechodziliśmy ją dość pośpiesznie...

— Wolalabym, mój kapitanie, żebyście do astronomii się wzięli! — wtrąciła żartobliwie pani podkomorzyna.

— Gdyby panna Emilia sobie życzyła — odrzekł poważnie kapitan, — zebrałbym podręczniki i z całą gotowością...

Podkomorzyna spojrzała przyjaźnie na ściągłą, bladą twarz Dallwiga. Lecz równocześnie kapitan poruszył się. Złote epelety mig-

nęły odbłaskami jarzących się na stole świeczników. Spojrzenie podkomorzyny mgłami się zasnuło.

— Zamierzasz pan trwać w karierze wojskowej?

Dallwig podniósł głowę.

— Trwać? Nie wiem, nie zdaję sobie sprawy. Radbym wyższego stopnia dosięgnąć. Zapewnia to u nas wpływy, przytem...

— Chcesz powiedzieć — u was, na skraju Kurlandyi.

— W całym państwie. Za kilka miesięcy spodziewam się awansu na majora. Gdyby nadto udało mi się dostać do sztabu głównego...

Podkomorzyna zasunęła się w głąb fotela i milczała. Dallwig poczytał to za zachętę do wynurzeń i zaczął rozpowiadać, jak łatwo będzie mógł w sztabie głównym na pułkownika wyjść, ile nadziei pokłada w protekcyi dalekiego krewnego, generała Korffia, ile prace przy budowaniu dyneburgskiej fortecy zdobyły mu faworów i jakich wpływów musiał zażyć, aby uniknąć awansu do Kowna.

— Winszuję ci, kapitanie, żeś Kowna uniknął — zauważyła podkomorzyna.

— I prawie, że nominacya moja była zdecydowaną. W Kownie byłbym skazany na zapomnienie. Głucha prowincya...

— Nie tylko to! Pomyśl, kapitanie, gdyby cię w Kownie zaskoczyło przyłączenie Litwy do Królestwa. Przed siedmiu laty poważnie nad tem debatowano. Teraz ucichło, lecz gdyby...

— Ach, pani hrabino, to najmniejsza turbacya. Zmieniłbym kolor munduru, a przy zmianie mógłbym niezawodnie zyskać.

Podkomorzyna wyprostowała się.

— Widzę, że gdyby cię w Kownie prusacy zagarnęli, również jeno awansu mógłbyś się spodziewać.

— Hm, zależałoby od wyniku wojny. Wytrwałbym do ostatka, lecz w razie przegranej... cóż, jest to poniekąd przywilejem wszystkich potomków braci krzyżowych, osiadłych nad Bałtykiem...

— Mylisz się, kapitanie, nie wszystkich. Są i tacy potomkowie ich, którzy są dziś wdzięczni swoim

praojcom, że zerwali z tym, jak go zwiesz, przywilejem.

Twarz Dallwiga posmutniała.

— Pani hrabino, proszę wie-
rzyć, gdyby Rzeczpospolita pol-
ska istniała...

Podkomorzyna przerwała zimno:

— Więc jakże, skończyliście już
budowanie dyneburskiej fortecy?

Kapitan, zaskoczony tym na-
głym zwrotem, zmieszał się i bąk-
nął kilka słów odpowiedzi. Podko-
morzyna rzuciła jakąś błahą uwa-
gę, z której Dallwig usiłował wy-
snuć wątek dalszej rozmowy, lecz
napróżno. Zdania rwały się. Ciska
raz za razem zalegała komnatę.

Usta Dallwiga wymawiały jesz-
cze głuche, bezbarwne wyrazy, lecz
bodaj dla tem snadniejszego stłu-
mienia tych, któremi pulsowały mu
skronie.

Oto znów, w chwili, gdy z ser-
cem, wezbranem najżywszemi uczu-
ciami przyjaźni, do Liksny przybył,
znów nieubłagane widmo Rzeczpo-
spolitej szczerzy ku niemu swą tru-
pią czaszkę. Znów napomknienia,
znów ta uparta, zawzięta mara gro-
dzi mu drogę do wynurzenia się,
do wypowiedzenia, do wyznania!
Ma-ż on odpowiadać za to, że
Dallwigowie woleli na baronii swej
trwać z poddaniem zrządzenia losu,

niż beznadziejnej bronić sprawy?!
I czyjej sprawy? Wszak nie swo-
jej, nie kurlandzkiej. Czyż w re-
zultacie słońca mniej, czy mniej
chleba, lub nie dość pola do za-
szczytów i odznaczeń? Po co drę-
czyć się tem, co nie wróci! Wilhelm
Dallwig, dziad, za polaka się miał.
Tak mu wypadło. Inne były cza-
sy i teraz inne. Zresztą, inaczej
go nauczono, inaczej wychowano...
Ale i dlatego bodaj dziwić się nie
można hrabinie Zybergowej... I Dall-
wig szanuje te jej starożytne wy-
obrażenia i ustępuje z placu, nie
dobywszy oręża, i pragnie, gorąco
pragnie dobra i dla niej, i dla jej
szlachetnych złud.

Siwe oczy podkomorzyny bacz-
niej ku kapitanowi spojrzały. Dall-
wig natężył uwagę.

— Z Orenburga!—podjął z tru-
dem—była wiadomość z Orenbur-
ga! Ach, tak!

Podkomorzyna mówiła coś je-
szcze. Dallwig głowę skłonił. Nie
rozumiał słów, a czuł ich ciężar. Nie
potrzebował silić się na ich zrozu-
mienie. Sto razy tę nieznośną hi-
storyę słyszał. Michał Plater, syn
Tadeusza z Kościuszkówny, wyro-
stek zaledwie, uczeń gimnazjum
wileńskiego, napisał na tablicy
szkolnej: wiwat! na cześć polskiej

konstytucji. Nowosilcow zawzięt się
na malca, a może z panem Tadeu-
szem porachunek miał, i zesłał go
do rot orenburskich. Po drakoń-
sku się obszedł z chłopcem,—nie
po ojcowsku. Wogóle te zatargi
z dzieciarnią akademicką, czy po
prostu szkolną, nie mają sensu.
Dallwig głęboko o tem był za-
wsze przekonany—i nie on jeden,
lecz wszyscy oficerowie dynebur-
skiego garnizonu. A przecież, ta
historia zesłania czycha nań w każ-
dem, najkrótszem bodaj sam na
sam z hrabiną, jakby on był zausz-
nikiem Nowosilcowa, jakby on tak-
że przyczynił się do niedoli malca.

— Chorował, znów chorował—
powtórzył machinalnie w głos za
podkomorzyną.

— Biedne, nieszczęśliwe dziec-
ko! Pomyśl teraz, zważ na bo-
leść rodziców, którzy nic, nic zgoła
dlań uczynić nie mogą.

Dallwigowi zawisła na ustach
odpowiedź. Chciał ją zdławić—nie
zdołał, wargi drgnęły mu, dźwięki
padły i wywołały ponure echo.

— Nigdy! słyszysz pan? nigdy!
Żadnej supliki, żadnego upoko-
rzenia!

Dallwig siły natężył, aby skur-
czem twarzy nie objawić sarkazmu.

DCN.

Ignacy Grabowski.

ZBRODNIARZ.

Grzela posiadał gołębie, a wtedy
Jędrzej ukradł kota...

Ptaki Grzeli były cudne, pierze
miały z różnych kolorów, skrzydła
i czuby na łebkach. Grzela cieszył
się serdecznie, gdy, usiadłszy kupką na
podwórzu przed stodołą, dziobały roz-
sypane ziarno. Strachnął je dla ucie-
chy, a wnet zrywały się i, polatawszy
po niebie, jak gdyby przez wstydl-
wość, obsiadały stóg Jędrzeja. Tam
cieszyły się niezmiernie, dziobami
rozstrzępiając snopki, po troszeczkę
i troszeczkę. Ponieważ pomagały im
czarne gapy, tłukące się codzien po
powietrzu, więc stówek wyglądał ze
wszech czterech stron świata—jak ob-
szarpaniec.

Gdy gołąbki na stogu ziarnem tak
się tłusto pasły, Grzela niby na to nie
patrzył, ale serce jego poglądało z za-
dowoleniem tak, jak gdyby to serce
miało nie jedną, ale dwie pary oczów.
Bo bez troski i bez grzechu przymna-

żało mu się dobra. Że gołębie ziarna
Jędrzejowego uszczkneły, nie było
dlań winą. Że ptak ma skrzydła do
fruwania, dziób do wydłubywania, a do
sądu nie chodzi, to tak już jest i bę-
dzie.

Gołębie na dostatniej pożywnie
tłuszczały, gruchały i lęgły się na po-
myślenie. Co i raz Grzelina sprzeda-
wała na targu młode gołębiątka, a ku-
powała je w miasteczku albo pani ap-
tekarzowa, albo pani naczelnikowa
poczty, albo czasami nawet księża
gospodyni, gdy jegomość delikatniej-
szego rosółku na żołądek zapragnął.

Jędrzej patrzył na stóg codzien
i coraz chmurniej. W stodole jeszcze
miejsca nie było, więc zwieźć go nie
mógł. Codzień krajało mu się serce,
gorączką spluwał, nie mógł nic jeść,
bo każda zacierka stawała mu kamie-
niem. Na nic były strachy ze zdar-
tych butów, albo starych portków na
drażu pokazanie, albo zabita i pod

stóg podrzucona gapa, albo siłka, albo
słomiany chochoł w czapie z kijem
w rękawie. Na nic. I gapy były mą-
dre, i gołębie nie głupsze. Głupi był
tylko Jędrzej.

Bo nic nie mógł zrobić, był zły
i wściekał się. Pewnego razu spró-
bował przemówić do Grzeli, choć z gó-
ry wiedział, że nic z gadania nie bę-
dzie.

— Grzelo, jakże tam będzie z wa-
szemi gołębiami?

Grzela, ma się rozumieć, nic nie
pojmował.

— Albo co?..

— Mówię co do mojego stoga...

— A cóż ja wam poradzę?

— Czemu je wypuszczacie!?

— A słyszeliście, aby ptak w zam-
knięciu miał się mordować! Tożby
zdechły. Gapy wam stóg oporzadzają,
nie moje ptaszki.

— Chyba, że się spotkamy w są-
dzie.

— A to pędźcie co tchu. Że wam Pan Bóg urodzajem dogodził i zboża zadość posiadacie, to takeście stwardnieli, że już i moim gołąbkiem spokoju nie dajecie!

Już gapom Jędrzej byłby odpuścić, bo są własnością boską, ale na gołębie sąsiedzkie patrzeć nie mógł. Wybrał się do Biedankowa na poradę do adwokata Czarnej Kity.

Czarna Kita odpowiedział mu w te słowa:

— Jędrzeju! Ja wam skargi do sądu pisać nie każe. Po co? Gołąb to jest ptak, to nie jest ani wół, ani koń, ani cielak, ani taki zwierz, co ucieka; gołąb wcale nie ucieka, on ma skrzydła, on fruwa, jak gęś. Jego paść nie można. On się w kodeksie nazywa „siła wyższa“. Jego nawet wcale niema w całym kodeksie. Wy go możecie na stogu złapać i łeb mu ukręcić, ale w sądzie nic nie wygracie. Czy wy macie dubeltówkę?

— Nie mam—odrzekł Jędrzej.

— Jeżeli wy nie macie dubeltówki—myślał głośno Czarna Kita,—to ja wam i tak coś powiem. A macie wy kota?

— Kota?

— No, kota, co łapie myszy.

— Kota zawsze mieć można.

— No!

— Co?

— Jeżeli on łapie myszy, to dlaczego on nie ma łapać gołębi?

— Juści! — zaśmiał się Jędrzej, zrozumiałwszy rzecz. Zapłacił Czarnej Kicie za poradę i wielce rad wyszedł. Całkiem przejaśniło mu się w głowie. Czuł, że teraz mocniejszy jest od Grzeli. Nie tamten, lecz on będzie na wierzchu.

W radości udał się do szynku, kropnął gorzały i pojadł kiełbasę. Kiedy jadł w hałasie i dymie, uszczęśliwion i z dobrą myślą, postrzegł wielkiego burego kota, który wyszedł z izby przyległej, gdzie były bety i dzieci Berka szynkarza, wskoczył na okseft piwa, przyległ i mrucał pod wąsem.

— Kiciuś!.. Kiciuś!

Tak zagadała dusza Jędrzejowa. Wpatrzył się w kota, jak w obraz. A gdy wnet przyszła mu do głowy myśl, że to jest kot żydowski, a zatem przynosi szczęście, zapragnął mocno... Nic go już powstrzymać nie mogło. Podniósł się do kota i poczęstował go odrobiną kiełbasy. Kot chwycił mięso jedwabnym języczkiem. Jędrzej pogłaskał go raz i drugi po sierści, kot przeżył się i wzerkał.

— Kiciuś!

Poznawszy się z kotem, Jędrzej zapłacił za jedzenie i dybał na czas, gdy nikt nie będzie patrzył. A gdy czas ten przyszedł, chwycił kota pod sukmanę i uciekł.

Przypadł do wozu swojego, wsunął kota w worek, zawiązał i krzyknął: wio! Popędzał konika rażno, iż paliło mu się poza plecami i przed oczyma, w domu.

Dojeżdżając do wsi, dostrzegł gołąbki Grzelowe, gdy się na jego stożku raczyły. Było im widać dobrze, gdyż na nóżkach podskakiwały i piściły się.

— Psia krew! — machnął ku nim biczem.

Lecz chrześcijańskie serce miał i powiedział:

— Dzisiaj im ostatnie wesele, niechaj użyją.

Przeto nawet nie spędził gołębi.

Jędrzej z Grzelą zamieszkiwali wspólnie jedno domostwo, każdy po połowie, a sienie mieli wspólne. Gdy się wszystko do snu ułożyło, Jędrzej wyjął kota z worka i wysunął się. Wziął na strych, gdzie był gołębnik Grzeli w komórce, zamykanej na patyk. Wpuścił kota...

Raniutko, niemal przed świtem, Jędrzej był już w swej stodółce i krzepko młócił jęczmień. Ale w duszy ciekawiło go i często wyglądał na podwórze. Co to będzie?

Do śniadania było całkiem cicho. Baby wydoily krowy, a Grzela oprzątnęła inwentarz, poczem nasmarował wóz. Domyślił się, że Grzelina ma jechać na targ.

Około śniadania w powietrzu zagadało. Grzelina wrzeszczała i wyprała chłopca po pysku. Jędrzej nie ruszał się ze stodółki, więc widział był to wszystko tylko zdala, a powodu nie mógł macnąć. Dopiero dowiedział się wszystkiego, gdy Grzelina siadała na wóz z chłopakiem, który pojeżdżał. Oto wyniosła w rękę mały sznurek bitych gołębi. Jędrzej liczył je: mogło być osiem, albo dziesięć, a nawet i szesnaście. Kot sprawił się sumiennie.

W tej chwili Jędrzejowi coś się zapaliło w sercu i niemal razem coś zgasio. Chrześcijańskie serce miał, więc na widok takiego rozboju zrobiło mu się markotno. On chciałby był położyć dwa, trzy ptaszki szkodne, ale aż tyle naraz—wydało mu się zawiele. A gdy przypomniał sobie twarde serce i mściwą rękę Grzeli, to nie tylko litował się, ale i bał. I niezdarnie walił cepami po klepisku.

Grzelina wkrótce odjechała z chłopakiem na targ, a niebawem z izby wyszedł Grzela, idąc ku swej stodole.

Jędrzejowi świat się zamroczył. Grzela trzymał pod pachą kota. Jędrzej widział, jak poszedł do stodóły, a za chwilę wyszedł bez kota.

— Powiesił go? — pomyślał Jędrzej.

Od tyłu skradnął się ku stodółce Grzelowej. Poprzez dziurę w wierzach spojrzął, ale nic nie dostrzegł, prócz ciemności. Zdawało mu się wszakże, że coś się żali. Wsłuchał się ciszej i naprawdę dosłyszał skargę się miauk. Miauk ów był przyciszony, jak gdyby wychodził z podziemia lub jakowejś głębi. Nie było wątpliwości, że Grzela skrył kota w dziurę, przyłożył kamieniem albo innym ciężarem i żywcem pogrzebał, ale w taki sposób, żeby można było dosłyszeć miauczenie.

Jędrzej wiedział, że Grzela miał serce twarde, jak kamień w murze...

Nie wiedział, co począc; czy przynieść do kota i zażądać od Grzeli, aby go wypuścił, czy udać, że o ni-

czem nie wie. Powrócił do stodóły młócić jęczmień. Ale nie mógł sobie zradzić, bo ciągle słyszał ów miauk kota. A przytem gniewało go, że teraz znowu Grzela jest na wierzchu. Pod południe nie wytrzymał i poszedł do Grzeli.

— Kumie, wypuście kota—rzekł.

— A czy wasz?

— Mój—przyznał się bojaźliwie.

— Toście go nasadzili na moje gołębie.

— Nie, sam wlaź!

— Oj! dobrzyście wy. Choćbyście mi za szkodę zapłacili, nie chcę. To ścierwo zdechnie, jakem chrześcijanin i katolik.

— Czy chcecie go zagłodzić!

— Niech miauczy! — zaśmiał się Grzela.

— Sam go wypuszczę!

— Spróbujcie wyrwać kłódkę od stodóły. Poszlibyście do turmy za samowolę.

— To rakarze tak czynią.

— A ty, złodzieju!—krzyknął Grzela i chwycił za łopatę.

Gdyby nie Jędrzejka, która na tę porę stanęła pomiędzy nimi i rozjęła, byłiby się pobili. A tak nie uderzyli na siebie, lecz Jędrzej czempredzej, na pieszo, polami a odłogami, lasami pośpieszył do Biedankowa, na poradę do Czarnej Kity.

Adwokat powiedział mu: „wygracie sprawę“. Obmyślili takiego świadka, którego Jędrzej miał pod stodółkę Grzeliną przyprowadzić, aby dosłyszał miauk kota, i Czarna Kita napisał skargę do sądu:

Do świętnego sądu gminnego w Biedankowie mieszańca wsi Niechluję, Jędrzejka (tu—nazwisko) skarga.

— Ja, Jędrzej (tu nazwisko) mam kota, którego biegli ocenili na dwadzieścia pięć rubli. Sąsiad mój, Grzela (tu nazwisko), samowolnie zamknął mojego kota w swej stodole, wsadził w dół, pokrył kamieniem i chce go zagłodzić! Proszę najuprzejmiej sąd gminny, aby zmusił rzeczonego Grzełę do oddania mi kota, którego samowolnie, wbrew przepisom prawa i sprawiedliwości, zamknął w swej stodółce, i ukarał go za pastwienie się nad zwierzętami. Proszę również o zasądzenie mi kosztów sądowych. Za świadków i biegłych podaję (tu nazwiska).

Podpisano (za niepiśmiennego) obrońca prywatny, Czarna Kita.

Taką skargę na wielkim białym arkuszu papieru napisał był Czarna Kita. Jędrzej był całkiem zadowolony. Czarna Kita pobiegł z papierem do dobrze znajomego sobie sekretarza sądu, który sprawę wyznaczył na najbliższe posiedzenie, przyczem pozwy dla pewności dał zaraz Jędrzejowi, aby można je było napewno stronom niezwłocznie wręczyć.

Trzy dni miało upłynąć do sprawy. Przez ten czas w Niechlujach pomiędzy sąsiadami powietrze było parne. Kot miauczał w stodole, gołębie siedziały zamknięte w komórce, Grzela nie patrzył na Jędrzejka, a Jędrzej nie wziął na Grzełę. Baby gadały z sobą, ale także z grzecznością

i politycznie, bez nijakiej miłości i chrześcijańskiego lubienia. Nikt nie wrzeszczał, nie pomstował, nie bił się,—było tak, jak pod chmurą.

Stawili się na sprawie: chłopcy, baby, biegli i Czarna Kita. Stawali wszyscy potrzebni i niepotrzebni, oprócz jednego najważniejszego świadka, który miał być potwierdzić, jako słyszał na własne uszy, że w stodołce Grzele kot miauczy. Owego świadka podmówił był Grzela, aby się nie stawiał w sądzie, bo, jako z prawem obeznany, wiedział, że bez tego świadka sąd mu „nie da rady“.

Jakoż tak się stało. Sędzia zapytał Grzeli:

— Oskarżający twierdzi, żeście zamknęli jego kota w stodołce i pastwicie się nad nim. Czy przyznajecie się do tego?

Grzela odpowiedział:

— Prześwietny sędzie, żebym tutaj, w tem miejscu sprawiedliwości, trupem padł, anim kota Jędrzejowego znał, anim go widział, anim go zamykał, anim się nad nim pastwił.

— Wobec faktu, że oskarżony nie przyznaje się do winy, a świadek najważniejszy nie stawiał się, sąd sprawę odracza—postanowił sędzia.

Jędrzej podsunął się ku stołowi sędziowskiemu z niskim ukłonem.

— Proszę prześwietnego sądu, jeżeli sprawę odroczyć na dwa tygodnie, a conajmniej na tydzień, to kot przez ten czas zdechnie. On już może nieżył, bo miauczy coraz chrapliwiej, jakby już żywota dokonywał.

— Prawo na to nic nie poradzi—rzekł sędzia, lecz po chwili namysłu zwrócił się raz jeszcze do Grzeli:

— Człowieku, jeżeliście naprawdę zamknęli kota i głodzicie go, to poszukajcie w sobie sumienia, wypuście go.

— Kiedy o niczem nie wiem, panie sędzio—odparł Grzela.

— Przechodzimy do porządku spraw—zakończył sędzia.

DN.

de Larmandie.

PRÓBA WSKRZESZENIA.

3

IV.

I Yesod, z postanowieniem strasznym, malującym się w całej twarzy, zwrócił się do trupa i począł znowu seryę nalegań fluidycznych, tym razem już nie z furją, lecz powolnie i z całkowitą metodą, syconą przez wysiłek woli, który widoczny był w rysach jego lica, gwałtownie ściągniętych.

Naraz rozkazał głosem stłumionym:

— Dwie krople kwasu na koi-czynny piersi, kropla bromu pod nozdrza!

Chesed spełnił polecenie i naraz z drżeniem niewysłowionem zawołał:

— Ach, widzę... widzę... widzę kształt... tak... to przecie nie halucynacja. Kształt świetlisty, bardzo blady, odtwarzający ze zdumiewającą drobiazgowością rysy samego trupa. Widmo to ma oczy zamknięte, lico nieruchome... zda się okrążać ciało ramionami. Ach, wybacz, wybacz, mistrzu, wzruszenie, które mnie przeszywa... wrażenie, które dech zabiera.

— Obserwuj starannie fazy rosnące tej reinkarnacji i opisz mi zjawiska z całą dokładnością i szczegółowością, na jakie cię stać. Stoimy wobec chwili, jednej z najuroczystszych w historii ludzkości. Uzasadnimy wszystkie te stare foliały, które uważano dotąd, jako zbiór mrzonek i fałszów! Ach, panowie drwinkarze, panowie sceptycy, którzy nas traktujecie, jak maniaków i facecyonistów, chodźcie i patrzcie... patrzcie, co zdoła widza, złączona z wola, szczerze zbratanie wiedzy ludzkiej i grozy niebieskiej. To, co wam pokażę, nie będzie zgoła ułudą... i zetrę z pamięci

ludzkiej Salpetrière z jego abecadłem i inne przybytki, gdzie sylabizują jęśliwie głoski języka nadprzyrodzonego, a który wam w całej chwale oznajmie.

— Już nic nie widzę — rzekł Chesed.

— To dziwi ciebie!

— Widmo zniknęło.

— A więc wskrzeszenie właściwie już dokonane, ciało astralne wróciło znów do ciała materialnego... najważniejsza część wielkiego dzieła spełniona. Będę ciągnął dalej me pasy, lecz już nie pasy przywołania do życia, których nikt przede mną nie używał, lecz kontrpasy klasyczne do zbudzenia, któremi pierwszy lepszy Donato skutecznie się posługuje. Pokieruję tak zjawiskami, których już jestem panem, by o samej północy ukończyć dzieło wysiłków... Bądźmy tradycyjni.

I znowu alchemik spłynął samym potem.

Naraz rzekł:

— Chesedzie, zdaje mi się, że możemy już zacząć stosowanie sztucznego oddychania... jak to czynią małym niemowlątkom, które niechęć tchnąć życiem, które opierają się wejść w świat żyjących... Głupie maleństwa! zresztą mają rację nie-małą! Własny mój oddech wtłoczę w płuca tej pani, a potem wychłostamy ją rażno... będzie to moment pobudzenia największego.

I rezolutnie przyłożył hermetysta swe wargi do ust Netzah i w kilkakrotnem wydychaniu wpuścił dech gorący w piersi zmrożone trupa. Następnie zastosował, że wspomagany przez swego asystenta, chłostę tęgą części mięsistych ciała.

— A teraz, mój wrażliwy Chesedzie — oświadczył Yesod, — racz

mi podać małe lusterko, które masz tam na kominku, z lewej strony. Winniśmy stwierdzić pierwsze oznaki oddychania.

Yesod zbliżył lusterko do twarzy Netzah.

— Zwycięstwo! — zawołał — szkło zamglone!

— Pokaż, mistrzu, pokaż! — naglił stropiony Chesed, który pomimo wszystko zachował resztki niewiary.

I drżąc, rzucił się ku lusterku.

— Patrz! — wyrzekł mistrz.

— Boże! — wyszeptał uczeń, stwierdzając rzeczywistość, którą mu oznajmiono.

— W gruncie rzeczy śmierć już przezwyciężona... letarg rozproszony, mamy przed sobą osobę... chorą, która po prostu pogrążona w śnie głębokim, zlekką hypnotycznym. Nuże! rażno na nogi dwa synapizmy z kwasu siarczanego... dwie krople wystarczy... nie uszkadzajmy nadto naszej pacyentki.

Ten rozkaz ostatni został spełniony.

V.

Na wielkiem zegarze z miedzi czerwonej poczęła bić godzina północy wolno, uroczystie, mroząco. Na pierwsze uderzenie zadrżał sam Yesod.

— To z niecierpliwości — oświadczył z czelnością.

Chesed drżał, jak krzew, wichrem poruszany. Dźwięk przeciągły drugiego uderzenia był jeszcze straszniejszy, jeszcze bardziej tajemniczy, rażący.

— Zegarze piekielny! — zawołał Yesod, — a pospiesz-że się i nie każ nam czekać tak długo.

Trzecie, czwarte i piąte uderzenie rozbrzmiały, jak strzały armat-

nie; zdało się, że mury domu chwiałą się pod niemi. Spojrzeniem przerażonem pytał Chesed swego mistrza o przyczynę tego zjawiska niespodziewanego.

— Huk ten — rzekł Yesod, — który postrzegam tak samo, jak ty, nic nie ma wspólnego z rzeczywistością; to tylko nasz przyrząd nerwowy, nad którym nie możemy dostatecznie panować, urządza sobie tę zabawę wielokrotnego powiększania siły dźwięku i rozległości vibracji.

Pod koniec tego zdania rozległo się szóste uderzenie, za niem siódme, wciąż bardziej rosnące, wciąż bardziej ogłuszające.

Przy ósmym uderzeniu ciało Netzah zlekka zadrgało.

— Oto jest — ozwał się ezoterysta.

Przy dziewiątym — ciało jej przeszło silne wstrząśnienie.

— Czy widzisz? — ciągnął uczony.

— Nie wiem, czy nie śnię — rzekł Chesed.

Przy dziesiątym uderzeniu nic nie nastąpiło.

Przy jedenastym — rodzaj rżenia śmiertelnego.

Z chwilą, gdy zegar kończył uderzenia wybuchem najwyższym, który przywołał na myśl grom trąby archanielskiej:

— Netzah! Netzah! — wysiłkiem wielkim krzyczał wprost Yesod: — zbudź się, w imię Gnozy, córki Bożej, w imię Nauki, córki ludzkiej, zbudź się!

A wtedy zwolna, nieznacznie, jak kamień z grobowca, z trudem podnoszony, dźwignęło się ciało Netzah, ramiona przeciągnęły się, oczy się rozwarły, wielkie, obłąkane, usta się poruszyły, spazm przerażenia przedarł się z jej krtani.

Yesod tryumfuje.

Netzah wskrzeszona.

Mistrz zwrócił się do ucznia.

— A teraz — papier i ołówek; chodzi o notowanie zjawisk. Jesteśmy teraz tylko uczonymi... Nie opuść żadnego szczegółu... a nasamprzód rozwidnij lampy.

W kilka chwil pracownia była oświetlona *à giorno*.

Martwa ożywiona, siedząc na kanapie, czkała głośno, jak gdyby była jeszcze w agonii; oczy, utkwione przed się, straszne, patrzyły... patrzyły...

Naraz z warg jej pobladyłych te słowa spłynęły.

— Gdzie jestem? — Gdzie jestem?

— Moje dziecię — rzekł Yesod, — jesteś uzdrowiona, to proste...

— Uzdrowiona, uzdrowiona...

— Tak jest, najzupełniej uzdrowiona; jutro zrana będziesz mogła wstać i rozpocząć zwykłe swe życie. Czy poznajesz mnie?

— Moje życie zwykłe? Czy poznaję pana?..

— Cóż to jest, Netzah! czyż mam cię na nowo usypiać, by ci prawdę poddać. Na honor, nie życzę sobie tego, miałem dosyć trudu z obudzeniem ciebie. Przypatrz no mi się tedy dobrze!

— Tak, tak, ja... ale to jest, jak wspomnienie dalekie... nie mogę znaleźć słów... nie mogę przypomnieć sobie pańskiego nazwiska.

— Jestem stary, to ci się wybacza, gdy jesteś pięknem młodem dziewczęciem, żeś zapomniała o mnie w swym śnie śmiertelnym; ale może jego przypomnisz sobie, tego młodzieńca, pięknego Cheseda, mego asystenta?

— Ach, tak, Chesed, Chesed. Asystent... asystent... czyj?..

— Mój, jako żywo! twego hipnotyzera stałego, doktora Yesoda. Netzah! w imię tej władzy, jaką nad tobą posiadam i większej, o której nie masz pojęcia, rozkazuję ci, zbudź pamięć.

Netzah westchnęła głęboko, całą pierśią, i rzekła te słowa.

— Tak... tak... teraz przypominam sobie... tylko jeszcze mam jakby lukę w pamięci... śniłam sen... taki... ach, taki sen!

— Opowiedz go nam tedy.

— Sen! ach! wielki Boże!

— Nie wątpię co do tego,

gdyż od kilku chwil wykrzywiasz się wielce, a ja właśnie zbudziłem cię nieco dla tego, żeby wiedzieć, co się działo w świecie snów, w który byłaś wgrążona.

— Co za sen!

— Właśnie jestem tego ciekawy.

— Pozwól mi pan wpierv oprzytomnieć.

— Oprzytomniej, owszem, moje dziecię!

— Ach! ten sen! a przytem boli mnie, jak od oparzenia.

Naraz oczy dziewczęcia upadły na trumnę, która leżała opodał, rozwartą, straszna, z całunem porzuconym. Krzyknęła tak przeraźliwie, że nawet Yesod zadrgał zlekka.

— Bylibyście mnie pochowali żywą! — wrzasnęła. — O!!

— Ależ nie! zapewniam, że nie — począł Yesod, który już odyskał całą zimną krew. — Właśnie całkiem przeciwnie.

— Jakto, jakto?

— Zapytaj Cheseda.

Chesed przyświadczył głosem drżącym.

— Oczywiście, całkiem przeciwnie.

— Ta trumna, ten całun...

Yesod rzekł do siebie:

— Zrobiłem głupstwo wierutne! Trzeba było uprząć to pudło.

— Chcę wiedzieć, co to ma znaczyć — krzyczała Netzah, cała rozjuszona.

I, postąpiwszy parę kroków, trąca nogą pudło podłużne, tak — że pomimo swej wagi znacznej, jak zabawka dziecięca, rzucona ręką mężką, z impetem uderzyło o mur pracowni i odbiło się z przeraźliwym hałasem.

— Do dyabła — rzekł Yesod, — w swym śnie magnetycznym nabrałaś porządnej siły... to pierwsze ostrzeżenie... a właściwiej, drugie... gdyż także wydłużyłaś się w sposób niezwykły. Sekretarzu Chesedzie, zakonotuj no na swym karteluszu te dwie ważne uwagi.

— Gotowe, mistrzu.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

17

Domini owiało gorąco, gdy ujrzała wzrok, który wystąpił na twarz cudzoziemca, kiedy tancerka dotknęła jego kolan.

— Idź i powiedz mu, że ona chce pieniędzy — nagliła szeptem Batucza. — Idź i powiedz mu!

Batucz wstał, lecz w tejże chwili łobuz, chłopiec arabski, który siedział koło cudzoziemca, zagadał do niego ze śmiechem, wskazując na dziewczę. Cudzoziemiec sięgnął ręką do kieszeni, znalazł w niej monetę i, kierowany przez łobuzer-

skiego chłopca, przyklepił ją do zatłuszczonego czoła tancerki. Raptownie porwała się na nogi. Dziewczęta zachichotały. Muzyka uderzyła melodyą tryumfalną i po całej izbie przeszło poruszenie. Prawie wszystko razem odzyskało życie.

Przekład z angielskiego.

Ów wzniosł rękę do kaptura i na-
ciągnął go na czoło. Inny poniósł
papieros do ust. Inny jeszcze jął
za filiżankę z kawą. Czwarty wresz-
cie, który trzymał kwiat, podniósł
go do nosa i powąchał. Nikt nie
pozostał w spokoju. Wraz z ruchem
cudzoziemca pierzchła sztywność,
natężenie myślowe raptownie zwol-
niało, duch swobody wyzwolił się
śród izby. Domini odczuła to do-
raźnie. Ostatnich kilka minut były
dla niej wprost bolesne. Westchnę-
ła z ulgą na zaniechanie tej mę-
czarni bliźniego. Bowiem cudzo-
ziemiec był istotnie — czy to przez
nieśmiałość, czy z innego powodu —
jak w kole tortury, gdy tancerka
położyła mu głowę na kolanach.

Anioł jego strwożył się być
może, podczas gdy duch jego...

Lecz Domini spróbowała rezo-
lutnie odwrócić swe myśli od niego.

Złożywszy monetę na czoło
dziewczęcia, cudzoziemiec zrobił
ruch, jak gdyby zamierzał opuścić
izbę, lecz naraz znowu ciekawe nie-
zdecydowanie, które Domini do-
strzegła w nim uprzednio, przecięto
ruch jego jakby na dwoje, pozostaw-
iając go w połowie spełnionym.
Gdy tancerka, obracając się tanecz-
nie, zmierzyła ku platformie, zapiął
swą kurtkę z rodzajem jakiegoś
śpiesznego postanowienia, obcią-
gnął ją nerwowo, rzucił szybko okiem
dokoła i wstał z miejsca. Domini
patrzała na niego i być może wzrok
jej pociągnął go, gdyż właśnie, kie-
dy już miał postąpić śród szeregu,
który wiódł do drzwi, ujrzał ją. Na-
tychmiast siadł znowu, obrócił się
tak, że mogła tylko widzieć część
jego twarzy, odpiął kurtkę, wyjął
zapalki i zajął się zapalaniem pa-
pierosa. Domini wiedziała, iż on
odczuł jej pilną uwagę na sobie,
i była zła za to na siebie. Byłóż
w niej istotnie coś śledczego? Byłaż
istotnie zdolną do zwykłej cieka-
wości w stosunku do mężczyzny?
Raptowny ruch Hadiego zwrócił jej
uwagę. Lico jego było targane wy-
razem, który zdawał się być na po-
ły gniewnym, napoły pełnym trwo-
gi. Batucz uśmiechał się seraficz-
nie, spoglądając ku platformie.
Zuzanna, z buzią w ciup, patrzała
dziewczyc na swoje kolana. Cała
jej postawa wskazywała, iż jest
świadomą tyłu błyszczących spoj-
rzeń, które z intencją były na nią
zwrócone. Taniec brzucha, który
tylko co zaobserwowała, zdumiał
ją do tego stopnia, iż uczuła się,
jak gdyby była jedyną szanowną
osobą na świecie i jak gdyby nikt
tego nie mógł być przypuszczać,
gdyby ona nie wywiesiła swego
białego sztandaru na murach Beni-
Mory. Starła się o to usilnie,

a tymczasem rzucała ukośne spoj-
rzenia w kierunku platformy, czy
czasami nie przygotowuje się drugi
taniec brzucha. Nie widziała ani
wzburzenia Hadiego, ani złośliwe-
go zadowolenia poety, lecz razem
z Domini dostrzegła, jak małe drzwic-
zki koło platformy otworzyły się
i jak otyły kabył ukazał się w nich
w towarzystwie dziewczęcia, które
było odziane w złotą tkaninę i przy-
brane w potoki złotych monet.

Domini domyśliła się odrazu,
że to była Irena, wygnanka, która
powróciła i która chciała zabić Ha-
diego, i rada była, że nowe to wy-
darzenie przychodzi w porę, by od-
sunąć uwagę jej od cudzoziemca.

Irena była najwidoczniej ulu-
bieniłą. Gdy weszła, powstało sil-
ne poruszenie: falą białą wszystkich
kształty obleczone pochylili się
zwolna w jej kierunku. Jedynie
Hadi obciągnął dokoła swój burnus
cienkimi palcami, opuścił brodę,
nasunął kaptur na czoło, przechylił
się wtył ku ścianie i, podwijając
nogi pod siebie, zdawał się zapa-
dać w sen. Lecz z pod powiek
bronzowych i z pod długich czar-
nych rzęs lekliwe oczy śledzi-
ły każdy ruch dziewczęcia w bły-
szczącym ubraniu.

Weszła zwolna i tęsknie, z wy-
razem twarzy chmurnym i umęczo-
nym, twarzy chudej i wycieńczonej,
na biało umalowanej, z czerwone-
mi wargami, uczernionymi oczyma
i brwiami. Rysy jej były wązkie
i śpiczaste. Kości licowe były cien-
kie i ciało tak szczupłe, pas jej tak
drobny, że, wraz z piersią płaską
i chudymi ramionami, wyglądała
prawie, jak kij, uwieczony ludzką
twarzą i obwieszony błyszczącymi
draperiami. Włosy jej, gęste i cie-
mno-bronzowe, były starannie zple-
cione i okryte złotym jedwabnym
szalem. Domini pomyślała, iż wy-
gląda ona na suchotnicę, i była
widokiem jej wręcz rozzarowana.
Dla pewnych racji niewiadomych
zdawało jej się, że kobieta, która
chciała zabić Hadiego i która wi-
docznie wzbudzała w nim strach,
musi być płomienną i wspaniałą
pięknością pustyni. Czyż dziewczę
to mogło być gwałtownem? Wy-
glądała choro, anemicznie, jakby
miała iść do łóżka; to też, patrząc
na nią, Domini nabrała jeszcze wię-
kszej pogardy dla Hadiego. Bać się
takiego nędznego, wycieńczonego,
sennego stworzenia, jak to — było
czemś godnym litości. Lecz Hadi
zdawał się sądzić inaczej. Wciąż
bardziej nasuwał kaptur na czoło —
i wyglądał obecnie, jak tłumok,
ukryty w cieniu Zuzanny.

Irena wstąpiła na platformę,
pchnęła dziewczę, które siedziało

na końcu ławki, aż się ruszyło dla
niej wyżej, siadła na wolnym miej-
scu, napiła się nieco wody ze
szklanki, która stała w pobliżu, i zo-
stała nieruchoma, patrząc wciąż
w podłogę, całkiem obojętna na
arabów, którzy ją pochłaniali oczy-
ma. Niechybnie, oczy mężczyzn
pochłaniały ją, odkąd mogła zapa-
miętać to sobie. Było rzeczą wi-
doczną, iż byli oni niczem dla niej
i iż nawet na chwilę nie mogli
skłócić potoku jej chorych i sen-
nych myśli.

Tańczyła inna dziewczka, krępa
wschodnia żydówka z haczykowa-
tym nosem, grubemi wargami i wy-
lupiastymi oczyma, które wyglądały,
jak gdyby były wyszorowane pro-
szkiem od szlifowania. Tańcząc,
śpiewała, lub raczej wywrzaskiwała
złowieszco jakąś niezwykłą me-
lodyę, która jakby wieściła o wal-
ce, mordach i o gwałtach śmierci.
Nie bacząc na widzów, drapała się
chwilami w głowę, lub obcierała
nos, nie przestając zarazem swych
drgawek i podrygów. Domini po-
znała, iż była to ta sama, którą
widziała z wieży, jak tańczyła na
dachu przy zachodzie słońca. Swia-
tło i odległość oczywiście prze-
obraziły ją. Przy świetle lamp była
ona uosobieniem wszystkiego, co
mogło być gburnego i ordynarne-
go. Nawet litość budząca chudość
Ireny była pociągająca w porówna-
niu z temi wzdętymi wdziękami,
które utrzymywała w ciągłym wstrzą-
saniu, aż prawie trwożą budzącem.

— Hadi już półmartwy ze
strachu — ozwał się cicho Batucz,
całkiem rad z sytuacji.

Domini się uśmiechnęła.

— Czyż nieprawda, proszę
pani, że Irena jest piękna, jak księ-
życ nad wodami Oued-Beni-Mora?

— Nie zdaje mi się — odrzekła
Domini tępo. — Sądzę przytem, że
ten, coby się obawiał stworzenia
tak drobnego, obawiałby się dzie-
ci na ulicy.

— Drobniego? Ależ Irena jest
tak dorodna, jak młoda palma
w Ourlanie.

— Dorodna!

Domini spojrzała na nią zno-
wu nieco baczniej i przekonała się,
że Batucz mówił prawdę. Irena by-
ła niezwykle wysoka, lecz jej nad-
mierna szczupłość, jej chude kości
i wiotkość, z jaką się zachowywała,
ludziły oko i dawały jej pozor mały.

— Niech i tak będzie, lecz
któżby się jej bał! Mogłabym ją
unieść i przerzucić przez ten
wasz księżyc.

— Pani jest silna. Pani jest —
jak lwica. Lecz Irena jest najstras-
niejszą dziewczyną w całym Beni-

Mora; gdy kocha lub jest zła, najstraszniejszą w całej Saharze.

Domini zaśmiała się.

— Pani jej nie zna—rzekł Batucz niezmaczony.—Pani może zapytać o nią arabów. Wiele tancerek w Beni-Mora zostaje zamordowanych, co sezon dwie lub trzy. Lecz niktby nie śmiał zamordować Ireny. Niktby nie kuśił się nawet.

Spokój poety i bezmągłość, z jaką traktował najstraszniejsze zbrodnie, jak gdyby były one najzupełniej naturalne i pod żadnym względem nie do dziwu i do potępienia, zdumiały Domini jeszcze więcej, niż jej omyłka co do Ireny.

— Na cóż to mordują tancerki?—zapytała szybko.

— Dla ich klejnotów. Nocą, w małych pokoikach z balkonami, jakie pani widziała, jest to bardzo łatwo. Wchodzi się tam, żeby spać. Zamyka się oczy, oddycha się sprawnie i nieco głośno. Dziewczę słyższy to. Nie boi się. Zасыpia. Sni sobie. Szyję ma, o, tak wyciągniętą—odrucił wtył głowę, wystawiając swoją wielką szyję.—Tuż przed samą jutrznią wyciąga się z burnusa nóż. Pochyla się. Bez hałasu podrzyna się gardło. Bierze się klejnoty i pieniądże ze szkatułki przy łóżku. Wychodzi się cicho bosemi nogami. Wszędy cisza. Odsuwa się zasuwę drzwi... i wtedy przed człowiekiem otwiera się wielkie schronisko.

— Wielkie schronisko?

— Pustynia, proszę pani.

Popił kawy. Domini patrzyła na niego osłupiona. Zuzannę przeszedł dreszcz. Słyszała to powiadomienie. Głośny kontraltowy wrzask żydówki wszczął się znowu ze swą pobudką gwałtowną i gburną biernością. A Domini zwolna powtórzyła:

— Wielkie schronisko.

Z każdą chwilą w Beni-Mora pustynia stawała się bardziej pełną znaczenia, różnaitości, tajemnicy, grozy. Byłoż to wszystko? Ogród boży, wielkie schronisko dla zbójów! Tam, na wieży, nazwała ją przybytkiem pokoju. W gardzieli El-Akbary Batucz mówił o niej, jak o wielkiem królestwie zapomnienia, w którem ciężar pamięci zsuwa się z ramion umęczonych i unicestwia się w miękkiem wirze piasków pustynnych.

Lecz byłoż to już wszystko? I jeżeli już było tak wiele podczas jednego dnia i jednej nocy, cóż będzie, gdy ją pozna? Czem będzie dla niej po wielu dniach i nocach? Poczęła czuć rodzaj strachu, połączonego z najniezwykłym pociąganiem, jakiego nigdy nie znała.

Hadi był jak przyklepiony do

ściany, drobny i skurczony. Głos żydówki urwał się wrzaskliwie. Oboje przycichły. Tylko tamtamy werbłowały.

— Hadi będzie teraz uszczęśliwiony—zauważył Batucz z całkowitem zadowoleniem w głosie,—bowiem Irena zacznie zaraz tańczyć. O! mały Milud przynosi jej właśnie noże.

Chłopiec arabski z prześliczną twarzą i bardzo ciemną cerą wśliznął się na platformę z dwoma długimi i ostro zakończonymi nożami w dłoni. Położył je na stole przed Ireną, pomiędzy bukietami kwiatu pomarańczowego, zeskoczył lekko i zniknął. Gdy noże dotknęły stołu, oboiści wraz ozwali się trwożnym szmerem, a potem wzmacniając nutę, aż póki zdało się, że oboje, i oni, i instrumenty rozpękną, rozkołysali ją na drżącej i wspaniałej melodii, dźwięczącej z taką dzikością, jakiej żaden europejczyk nie jest mocen ani wyśpiewać, ani napisać. Na chwilę porwało to Domini i podnieciło do tego stopnia, że ledwie mogła dyszeć. Wlało to ogień w jej żyły i ogniem obłożyło jej serce. Było to tryumfalne, jak wielka pieśń pobjowa w dzikim kraju, okrutna, mściwa, lecz tak silna i tak namiętnie radosna, iż oczy błyszczaniem zaprawiała, i krwi bić tętnem kazała, i duchowi powstawać, i wołać głosem wielkim wraz z ciałem, wołać o całą swobodę, o czyn, o szerokie obszary do włóczęgi, o długie dni i nocy chwały i miłości, o natężone godziny wzruszeń i o życie życia całym szalem radosnej bezwolności. Zdawało się, że pieśń ta jest duszą stworzenia, tańczącą dookoła arki. Tamtamy towarzyszyły pieśni tej nieregularnym, lecz rytmicznym werblem, który zdawał się Domini być krzykiem, od głębi głoszonym, zastępów mężów walczących.

Irena patrzyła wzrokiem zmęczonym na noże. Wyraz jej się nie zmienił, i Domini była zdumiona tą jej obojętnością. Oczy wszystkich w tej izbie były zwrócone na nią. Nawet Zuzanna poczynała być mniej dziewczęcą w pozorach pod wpływem tej pieśni tryumfalnej pustyni. Domini nie zwracała już oczu w stronę cudzoziemca. Na chwilę zapomniła o nim. Cała jej uwaga była zwrócona na wtył i jakby suchotnicze stworzenie, które patrzyło na dwa noże, leżące na stole. Kiedy to hasło wielkie zostało już raz odegrane i namiętny werbel tamtamów obwieścił jego powtórzenie, Irena wyprężyła raptownie swe chude ramiona, rzuciła się na noże, porwała je i sprężyć się powstała.

Przeszła od zmęczenia do energii żywotnej z taką szybkością, że była ona prawie demoniczną i zdała się palić w niej oboje: i myśl i ciało. Kiedy oboje po raz wtóry ozwały się dziką pobudką, Irena uniosła noże nad głowę i zatańczyła.

Biały tłomok koło Zuzanny poruszył się. Irena, trzymając sztylęty nad głowę, skoczyła z małego wzniesienia i tańczyła na podłodze glinianej między arabami. Wtył jej ciało wstrząsało się konwulsyjnie w takt muzyki. Akcenty melodyi zaznaczała ramionami. Podniecenie jej stale wzrastało, aż zdało się być wreszcie jakąś żądzą palącą, która była napoły szalem radosnym, napoły rozpaczą. W wyrazie jej, w ruchach, w całej postaci, wygiętej wtył z twarzą zwróconą ku górze, z piersią i szyją wystawioną, jakby składała w ofierze swe życie, swą miłość i wszystkie w sobie misterya, jakiejś istocie rojonej, która opanowała całą jej dziką i ekstatyczną duszę—było wzbudzenie żywotne dwu żywiołów w ich pasji: upojenia rozkószy i smętku melancholii. Oczy jej były prawie zamknięte—tak, jak je zamyka kobieta, gdy widzi usta kochanka, pochylające się nad sobą. Usta jej zdały się odbierać tknienie ogniste ust niewidzialnych. W tej chwili była piękną, bowiem wyglądała, jak sama kobiecość. I Domini pojęła, dlaczego arabowie mienili ją piękniejszą od innych tancerek. Posiadała to, czego tamte nie miały—talent i natchnienie. Gdyż talent, pod tą, czy ową postacią, ukazuje chwilami światu lico Afrodyty.

DCN.

TRZEŚ NUMERU 17-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Zbrodniarz. *Ignacy Grabowski.*
Próba wskrzeszenia. *de Larmandie.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie;
1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie